

Brzuchate, ciemne chmury płaczą rześnistym deszczem, nabrzmiąle krople spadają z łoskotem na ziemię, a przeraźliwie zimny wiatr przewiewa do szpiku kości. Wtulam głębiej nos w poły płaszcz, otulam szalikiem zmarzniętą twarz, mocniej naciągam kaptur i próbuję przetrwać te kilka najbliższych minut. Nadjeżdża autobus. Uff nareszcie, wsiadam, a właściwie wciskam się do mocno zatłoczonego pojazdu, pomiędzy szarych, smutnych ludzi. Mój turkusowy płaszczyk oddziela mnie od bezbarwnej masy istnień ludzkich. Mijamy jeden przystanek, drugi i trzeci. Deszcz powolutku traci na sile, rześniste krople słabną i słabną by niedługo zmienić się w kapuśniaczek, delikatnie pobudzający wiosną ziemię do nowego życia. A przecież mamy jesień...

Jeszcze tylko dwa przystanki i już będę u celu. Rozpędzone samochody i zagonieni ludzie za szybą zmieniają się błyskawicznie, niczym kadry kiepskiego filmu. Wsiadam. Deszcz już ustał zupełnie, wiatr przegania niesforne chmury, a jesienne słońko nieśmiało przegląda się w ogromnych kałużach.

Idę. Żółte liście szeleszczą pod butami. Mijam kobietę z niesfornym dwulatkiem, siwego pana z laseczką w dłoni, gromadkę przedszkolaków i zatroskaną starszą panią w asyście smutnego pieska na złotym łańcuszku. Przyspieszam kroku. Przekraczam potężną, mosiężną bramę by już za chwilę zapukać do drzwi...

Wielu nie zna takich miejsc wcale, wielu wzgardziło dobrodziejstwami, które oferują. Wyśmiane i odepchnięte zdołały jednak przetrwać wieki ciągle pracując nad wykształceniem i wychowaniem coraz to nowych pokoleń. Biblioteka- matka śmietanki narodu, najwybitniejszych z wybitnych. To ona przechowuje nieocenione skarby myśli i nauki. To ona odkrywa przed oczami ciekawskich tajemne karty wiedzy. To ona śmieszy i bawi, ona wyciąga do nas spracowane dłonie, by wyrwać nas ze szponów codzienności i przenieść w inny, lepszy świat.

Do tej pory ich matczyne ręce związane były grubym łańcuchem biurokratycznych przepisów. Równowartością nowych książek i odpowiedniego wyposażenia bibliotek kamuflowano niejedne niedociągnięcia samorządowców czy łataną dziurawy budżet. Na szczęście ludzie w porę zrozumieli swój błąd i dziś robią wszystko, by skarby gromadzone przez lata nie tylko nie uległy zniszczeniu lecz też by zachęcić młodszych i starszych do czerpania wiedzy u samego źródła. Bo czym jest film realizowany w 3, 4 czy nawet 5d w porównaniu z taką gamą możliwości? Czytając sami kolorujemy ramy wyznaczone przez autora, krystalizujemy kształty i ożywiamy postacie, niejednokrotnie odnajdując w nich samych siebie. Pogłębiamy wiedzę, poszerzamy horyzonty, otwieramy się na świat i innych ludzi. Łączymy fabułę autora z naszymi marzeniami i wyobrażeniami, by ciągle stwarzać kolejne idealne światy, o które tak trudno w naszej rzeczywistości.

Dziś biblioteki po latach marazmu i zacofania chwytają wiatr w żagle i na skrzydłach postępu wznoszą się ku potrzebom i oczekiwaniom nawet najbardziej wymagającego odbiorcy. Dumnie podnoszą głowy wciąż wyżej i wyżej niczym złoty słońceznik ku słońcu.

... Drzwi skarbnicy wiedzy otwierają się przede mną szeroko a oczy moje cieszy widok, którego nie sposobów zapomnieć. Bordowy, marmurowy chodnik wita mnie i prowadzi w najodleglejsze zakątki królestwa. Długi korytarz wyposażony w pięciore drzwi jest przepustką do kolejnych komnat. Ściany muśnięte brzoskwiową pomarańczą zachęcają przypadkowych gości do odwiedzenia kolejnych sal. Z wnętrza dębowych ram spoglądają na mnie dostojne twarze królów Polski. Jadwiga dobrotliwie uśmiecha się do przybyłych gości, Aleksander Jagiellończyk trapi się konstytucją „radomską”, a Jan III Sobieski podkreślając wasy spogląda w stronę ukochanej Marysieńki. Misternie zdobione, połączane klamki i spory przycisk tego samego koloru idealnie komponują się z kawowymi drzwiami.

Ciepły, kobiecy głos wydobywający się z maleńkiego głośnika ukrytego pod rozłożystą paprocią informuje mnie, co kryje się za kolejnymi drzwiami. Projektanci biblioteki dołożyli wszelkich starań, by była ona przyjazna nie tylko dla przeciętych użytkowników ale również chętnie i bez problemów mogły korzystać z niej osoby, którym los poskąpił wzroku, słuchu, sprawnych nóg czy w inny sposób zdrwił z ich człowieczeństwa.

Drzwi opatrzone pierwszym numerem prowadzą do szatni i to właśnie tam kieruję najpierw swoje kroki. Pomieszczenie wygospodarowane do przechowywania odzieży i bagażu podzielone jest na kilkaset maleńkich klateczek. Przez moment zastanawiam się, czy na pewno znalazłam się we właściwym miejscu, niebawem jednak uśmiechnięty bibliotekarz o kruczoczarnych włosach i błękitnych oczach rozwiewa wszystkie moje wątpliwości. Podchodzę do pierwszej z brzegu „klatki” i przykładam duży palec prawej ręki do elektronicznego czytnika umieszczonego na jej okratowanych drzwiczkach. Natychmiast elektroniczny napis na środku boksu zmienia się z zielnego „wolne” na czerwone „zajęte”. Wchodzę do środka, zrzucam z siebie wierzchnie odzienie i wieszam na jednym z trzech brązowych wieszaków. Na wysokości oczu zarezerwowano miejsce dla sporej, drewnianej półki, na której zostawiam ciężkie zakupy. Wychodząc starannie zamykam za sobą drzwi i znów zostawiam za sobą niezacierały ślad w postaci odbitych linii papilarnych na monitorze czytnika.

Ponowne przyłożenie kciuka do czytnika jest równoznaczne z bezszelestnym zamknięciem boks. Otworzyć będę mogła go wyłącznie ja, po raz kolejny używając tej samej prostej techniki. Tym sposobem nie muszę martwić się o numer, który często ginie wśród stu jeden innych drobiazgów niezbędnych każdej kobiecie.

Otwieram drzwi szatni i ponownie zanurzam się w ciepłą, pomarańczową przestrzeń, która za chwilę odkryje przede mną kolejne swoje tajemnice. Każde z drzwi znajdujących się w korytarzu opatrzone są tabliczką z opisem sali, która się za nimi kryje. Śmiałowicie szybko mogą odkryć komnatę, która w danej chwili najszybciej i najtrafniej przybliży im tajemne sekrety. Komunikat na tabliczkach napisany jest dużymi, czarnymi literami na białym tle. Z łatwością rozszyfrować go mogą miliony użytkowników. Aby odkodować zapisaną treść wystarczy w stopniu średniozaawansowanym władać językiem polskim, angielskim lub posługiwać się alfabetem Braille'a.

Do odwiedzenia sali komputerowej zachęca uśmiechnięta pierwsza „Tygrysica” Rzeczypospolitej. Na stróża tego pomieszczenia, wyposażonego w 60 komputerów, 25 drukarek, 10 skanerów i tyle samo kserokopiarek została mianowana energiczna i dumna Agnieszka Babenberg, żona i partnerka życiowa Władysława II Wygnańca. Zachęcona i zmobilizowana do efektywnej pracy mężną postawą księżnej ruszam na bój w informacyjny gąszcz, w celu odnalezienia tej jednej- najważniejszej i kilku dodatkowych pozycji. Przekraczam próg mediateki i z ciekawością przyglądam się portretom zupełnie nieznanymi osobistości. Bolesław I Wysoki, Mieszko I Płatonogi, Konrad Laskonogi i Ryksa Śląska. Po przeczytaniu nazw umieszczonych pod każdą podobizną utwierdzam się tylko w przekonaniu, że nie znam żadnego z nich, a imiona i przydomki, które im nadano świadczą o ogromnej dziejowej przepaści, która dzieli moje życie od ich egzystencji na tym padole. Niezrażona tym faktem skrętnie je notuję i postanawiam sprawdzić kto jest, a właściwie był ich właścicielem. Sala jest duża i przestronna. Każdy jej centymetr wykorzystano w najlepszy z możliwych sposobów.

W pomieszczeniu aż roi się do mniejszych i większych biur, biureczek, stołów, stolików i blatów. Pracownia najeżona jest masą sprzętu komputerowo-reprograficznego. Z każdego zakamarka wystawiają głowy komputery, drukarki, skanery czy faksy. Dumnie ponad tłum przepycha się ogromne urządzenie wielofunkcyjne, tuląc pod skrzydłami mniejsze i większe kserokopiarki. Okna przystrojone w zielone sukienki żaluzji chronią od uciążliwych, letnich promieni słońca. Drobne płatki rozmarynu, upstrzone fantazyjnie po całym pomieszczeniu czuwają nad wzrokiem użytkowników.

Zachęcona tak przyjazną atmosferą zajmuję miejsce przy komputerze i z werwą zabieram się do pracy. Wybieram stronę biblioteki, a następnie jej katalog. Z łatwością odnajduję potrzebną książkę, potem kolejną i jeszcze jedną. Uszczęśliwiona pozytywnym rozwiązaniem trapiącego mnie problemu z uśmiechem opuszczam mediatekę.

Mecenat nad wypożyczalnią sprawuje Bona Sforza. Zaradna królowa roztacza opiekę nad pomieszczeniem z pięcioma stanowiskami do odbierania książek. Prostokątna sala przyozdobiona jest bukietem warzyw, których obecność w Polsce zawdzięczamy Księżnej Bari i Rosano. Ściany upiększają wytworne okazy, których nie powstydziliby się sama królowa. Dorodne brokuły o długiej, mięsistej łodydze zakończonej kwiatostanem asystują kwitnącemu tymiankowi. Nieopodal spaceruje nierozłączna para- kapusta i kalafior. Kalafior dumnie pręży muskularne ramiona, na widok których zawstydzona kapustka chyli czerwoną głowę. Długie, żółte nitki makaronu zwinnie oplatają dorodne pomidory i wspaniałego krewniaka słonecznika. Fasolka szparagowa tanecznym krokiem podąża na spotkanie zielonemu ze złości szpinakowi, który namalowany w kącie sali czuje się niedoceniony i zaniedbany. Pomiędzy włoszczyznę wkradł się niepostrzeżenie złoty puchar napełniony po brzegi winem, które także gospodarna królowa rozslawiła na ziemiach Korony. Pomieszczenie wypożyczalni jest niewielkie. Użytkowników wita błyskawiczny i niezawodny niczym szwajcarski zamek biblioczytnik w kształcie książki, stworzony specjalnie dla tych, którzy cenią sobie czas i wygodę. Obsługa tej absolutnej nowości na rynku bibliotekarskim jest prosta jak drut i jasna jak słońce w upalny dzień. Nie wymaga nakładu czasu, ani żadnych umiejętności, a dodatkowo zastępuje kilku pracowników, wykonując jednocześnie wszystkie ich zadania. Wystarczy, że na „Qwercie” wystukam poszczególne litery, które łącząc się w wyrazy stworzą tytuły zamówionych wcześniej publikacji i obserwuje jak po kolei pojawiają się na monitorze ogromnej

elektronicznej książki. Czytelnicy mogą korzystać z klasycznej klawiatury lub uporządkowanego zestawu klawiszy przystosowanego dla osób niewidomych i niedowidzących. Biblioczytnik pod czujnym okiem wszechstronnej Bony działa bez zarzutu, przyjmuje kodowane informacje i wysyła je do odpowiedniego stanowiska. Dzięki pomysłowości bibliotekarzy i wykorzystaniu najnowszych technik samodzielnie odbierać książki może jednocześnie pięć osób, każda w innym okienku. Po wprowadzeniu i zaakceptowaniu tytułów machina wypluwa małą, białą karteczkę z numerem stanowiska. Szlaban podnosi się i moim oczom w całości ukazują się z rozmachem wykonane i niemal pobudzone do życia malowidła ściennie.

Gromadka uśmiechniętych dzieci spaceruje ceglany chodnikiem, mijając ogromne, drewniane skrzynie, z których dziarsko wyglądają rośliny lecznicze. Dzieci pochylają główki ku pachnącym, kwiatowym kielichom, wyciągają rączki po dorodne kiście winogron, uśmiechają się do kolorowych motyli. Smakują w bogactwie ogrodu, sięgając co rusz po dojrzałe pomidory czy chrupiąca kalarepę.

Słońce przyglądając się tym harcom oświetla ich rozpromienione, szczęśliwe twarzyczki, śmiesznie umazane pyłkiem kwiatowym. Bezbronne stworzenia nie są świadome czyhającego na nie zagrożenia, które lada chwila ma się ujawnić. Złotowłosa dziewczynka sięga po kolejne grona, gdy nagle pomiędzy krzewu winorośli, bogato ustrojonego w zielone, pięciopalczaste liście niespodziewanie wyłania się ogromny wąż. Jednym, zwinnym ruchem oplata ogonem przestraszona gromadkę. Śmiertelnie niebezpieczna obręcz z łusek zaciska się błyskawicznie wokół maleńkich postaci. Gdyby nie natychmiastowa reakcja Bony, która nieustraszenie staje w obronie niewinnych dzieci byłoby, bardzo niebezpiecznie. Królowa jednym, zwinnym ruchem miażdży głowę napastnika, chroniąc tym samym dzieci od niechybnej śmierci w paszczy gada. Wszystko wraca do utartego rytmu, słońko świeci, dzieci biegają i psocą, a Bona zastanawia się jakich roślin jeszcze brakuje w jej bogatej kolekcji. Uspokojona szczęśliwym zakończeniem wybieram właściwe okienko i odbieram z wyciągniętej dziecięcej rączki zamówioną książkę.

Dokładnie przeszukuję moją przepastną torbę w poszukiwaniu legitymacji studenckiej, która niewątpliwie przyda podczas korzystania z czytelni. Natrafiam kolejno na etui, w którym przed jaskrawym, jesiennym słońcem schroniły się okulary przeciwsłoneczne, zaróżowioną z przejęcia szminkę i słonika na szczęście. Legitymacja grzecznie leży w niedosuniętej bocznej kieszeni torby i śmieje się ze mnie do rozpuku. Zerka jednym okiem i dyskretnie sprawdza, czy już przypomniałam sobie, gdzie powinnam jej szukać. Uparciuch z całych sił wciska się w najodleglejszy kącik kieszeni tak, aby jak najdłużej pozostać niezauważoną.

Uzbrojona w tajemną wiedzę, ukrytą w trzech świeżo odebranych woluminach, lecz ciągle spragniona nowej ruszam dalej, na kolejne polowanie. Czytelnia ulokowana jest w najodleglejszym zakamarku holu bibliotecznego. Przeszklone drzwi sali oznaczonej piątym numerem zdobią kolorowe witraże ukazujące odwiedzającym książkę w różnej postaci i zmiany jej wyglądu w ciągu stuleci. Na pierwszy plan dzielnie przepycha się płaska tabliczka, ukształtowana z gliny. Jej gładka powierzchnia przeorana bezlitośnie rylcem przekazuje odbiorcy zakodowany komunikat. Obok wysłużonego zwoju egipskiego papirusu możemy zobaczyć złączone, dwustronnie zapisane karty kodeksu. W prawym dolnym rogu szyby średniowieczna książka rękopiśmienna nie odstępuje na krok wytworu gutenbergowskiego wynalazku wszechczasów. Zwieńczeniem tak zacnej kolekcji jest

miedziorytowy, osiemnastowieczny Ekslibris Biblioteki Załuskich. Wykonane z największą precyzją dzieło powstałe we Lwowie autorstwa Jana Filipowicza. Nad czytelnią czuwa Zofia Holszańska. W postaci niewidzialnego duszka krąży pomiędzy regałami, dba o porządek oraz ciszę i dyskretnie, prosto do serduszka szepta słowa upomnienia tym, którzy na chwilę zapomnieli, i gdzie i w jakim celu się znajdują. Pomieszczenie wyposażone jest w nieprzebraną ilość stolików, krzeseł, lampek i innych atrybutów biurowych.

Sprzęty są tak wybrane i usytuowane, by czytelnik mógł pracować w sprzyjających warunkach i chętnie wracał do tego miejsca wielokrotnie. Wszystkie cztery ściany obstawione wypchanymi po brzegi regałami uśmiechają się przyjaźnie do odwiedzających, zachęcając do skorzystania z ich dobrodziejstw. Cały podręczny księgozbiór na komendę bibliotekarzy podzielił się na kilkanaście działów, ułatwiając tym samym czytelnikom odszukanie potrzebnych pozycji. Tutaj, w odróżnieniu od magazynu, każdy użytkownik ma nieograniczony dostęp do zbiorów. W niewralgicznym punkcie sali, w miejscu doskonale widocznym dla wszystkich użytkowników i odpowiednio oświetlonym widzę portret czwartej żony Władysława II Jagiełły. Nieopodal niego odnajduję drewnianą gablotę z jedyną książką, której nie mogę tutaj wziąć do rąk i przejrzeć. Zza szyby spoglądają na mnie dostojnie i z powagą sędziwe oczy kopii Biblii Królowej Zofii, pierwszego tłumaczenia Pisma Świętego na język polski, które zleciła swojemu kapelanowi Andrzejowi z Jaszowic. Królowa także przyczyniała się do rozwoju Akademii Krakowskiej wspierając ją finansowo, mimo że sama w młodości pozbawiona była możliwości kształcenia się. Jeszcze raz przyglądam się każdemu kącikowi pomieszczenia, po czym biedniejsza o legitymację, za to wyposażona w niezbędny numerek przypisujący mnie do odpowiedniego stolika staje się pełnoprawnym użytkownikiem czytelnicy. Dzięki precyzyjnemu oznaczeniu i świetnemu położeniu działów nie gubię się w gąszczu półek i bez trudu odnajduje książkę, z której chce skorzystać. Po skończonej pracy odkładam książkę na wyznaczone miejsce, opatrzone zlepkiem czarnych liter, które po przeczytaniu tworzą wyraz: zwroty.

Wszelkie potrzebne mi informacje już zdobyłam, a wypożyczone, opasłe tomiska współpracując z ziemską grawitacją niestrudzenie przyciągają mnie do ziemi i właściwie to mogłabym zakończyć dzisiejszą przygodę z biblioteką, gdyby nie jedno, ciągle nurtujące mnie pytanie. Czytelnia to miejsce, w którym każda książka leży na półce, niektóre uśmiechają się przyjaźnie czy gestami zachęcają do sięgnięcia po nie, inne ziewają, znużone lub zmęczone wypinają grube brzuchy pochrapując cichutko. Każdą książkę możemy zobaczyć, niemal każdą dotknąć i obejrzyć. A jaki jest los książek, które zamawiamy? Jak wygląda ich codzienność, pomieszczenie, w którym oczekują na tego wybranego, który zechce zabrać je do domu i przeczytać? Czy czują się samotne? Te wszystkie moje wątpliwości może rozwiązać jedynie wizyta w magazynie i załatwiwszy wszelkie kwestie formalne tam kieruję swoje kroki. Na opiekuna magazynu koronowano „z Bożej łaski” Władysława, syna Władysława II Jagiełły i Zofii Holszańskiej. Nieprzypadkowo wybrano takiego, a nie innego patrona. Przekaz o śmierci naszego młodego władcy podczas bitwy z Turkami pod Warną po dziś dzień nie przekonuje niedowiarków, wierzących w dozgonną pokutę króla za zerwanie pokoju z Turcją, izolującego się od świata na maleńkiej wysepce. Według legendy, odciętą podczas bitwy głowę Władysława zakonserwowano i pieczołowicie przechowywano w skarbcu tureckim na dowód zgładzenia przeciwnika. Nie odmówiono sobie również wystawiania jej ludowi ku ogólnej uciechy i chlobie. Nigdy jednak nie odnaleziono ciała najstarszego spadkobiercy Władysława II, mimo iż charakterystyczny,

szósty palec u nogi odróżniał go od innych. Waleczny król świetnie radzi sobie z powierzonymi mu zadaniami. Niezawodnie strzeże i pilnuje powierzonych mu zbiorów i czuwa nad tym, aby wszystkie woluminy na czas wracały na swoje półki. Jak dowiedziałam się, w tajemnicy, od pracownika opiekującego się magazynem, codziennie wieczorem, podczas ostatniego, sprawdzającego obchodu magazynu, portret Władysława delikatnie porusza się. Chwilę później twarz bibliotekarza muska delikatny wiaterek, jakby oddech kogoś, kto bardzo szybko przemieszcza się pomiędzy półkami z książkami. Rano wszystkie woluminy odnajdujemy w idealnym porządku, bez względu na to jakie było ich położenie poprzedniego dnia... Najstarszy syn Zofii Holszańskiej mimo upływu wieków ciągle nosi w pamięci bolesne rany. Jego doczesne szczątki nigdy nie zostały pochowane z cziłą należną królowi a nawet odnalezione i oplakane przez najbliższych. Nad trumną krzewiciela chrześcijaństwa pogańskim Turkom nawet najprostszy kapłan nie celebrował żałobnej Mszy Świętej, ani nie wspomógł modlitwą duszy wyrrywającej się ku niebiosom. Władysław doskonale zna tułaczy los. Obdarzony zaszczytną funkcją stróża wraz z niebiańskim zastępem Warneńczyków dzielnie toczy bój o każdą książkę i czuwa, by żadna nie podzieliła jego tułaczego losu.

Powierzchnia wygospodarowana w naszej bibliotece na magazyn niejednej musi służyć jako czytelnia, mediateka, wypożyczalnia i magazyn jednocześnie. Zgromadzone tutaj woluminy nigdy nie narzekały na brak komfortu. Białe ściany pomieszczenia, obficie ozdobione narcyzami, niezapominajkami, stokrotkami i mocą innych kwiatów, skradzionych z kolorowego bukietu pani wiosny podkreślają radosny nastrój oczekiwania. Półki z książkami sięgają po horyzont. Kielichy kwiatowe oświetlające wnętrze magazynu ustawione są w odpowiednich miejscach, zgodnie z zaleceniami mieszkańców. Jednym słowem pięć gwiazdek w każdym wymiarze. Książki poukładane w rzędach, na dużych, wygodnych półkach w miłym towarzystwie oczekują wizyt bibliotekarzy.

Często sąsiedzi organizują zakłady, kto pierwszy zostanie wypożyczony. Książki po raz pierwszy prolongowane, po powrocie na półkę często wpadają w zupełnie nieuzasadniony samozachwył. Szybko jednak współtowarzyszki odsączają z ich zarozumiale podniesionych głów wodę sodową i wszystko wraca do normy. Książki bardzo zżyły się ze sobą, ale przyjaźń to nie jedyne uczucie, które można zaobserwować wśród woluminów. W pierwszym rzędzie po prawej stronie zakochana para ciągle tuli się do siebie niezdarnie wyciągając ku sobie kartki, niczym ręce spragnione uścisku. Aż strach pomyśleć co się będzie działo, gdy jakiś czytelnik odważy się rozdzielić zakochanych...

W pełni usatysfakcjonowana szczęśliwym zakończeniem mojej wyprawy na powrót przemierzam przetarte już szlaki biblioteczne. Wędrując sporym korytarzem docieram do szatni. Drzwi mojego boksu magicznie otwierają się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zakładam płaszczyk, szczerze opatulam się szalikiem i zabieram siatkę z zakupami. Na pożegnanie po raz ostatni przykładam duży palec do małego prostokątka. Elektroniczny czytnik zeskanowawszy linie papilarne mojego kciuka błyskawicznie przyswaja informacje i w mgnieniu oka czerwone „zajęte” staje się zielonym „wolnym”. Z mocnym postanowieniem szybkiego powrotu opuszczam gmach biblioteki.

Idę. Mijam sterty żółtych liści. Patrę uważnie pod nogi, by nie wylądować w jednej z wielu ogromnych, brudnych kałuż. Powoli zakrada się jesienny, ciemny i ponury wieczór. Przyspieszam

kroku, by na pewno zdążyć na najbliższy autobus. Mijam zmarzniętych przechodniów, zapłakane szyby sklepowych wystaw i biedne, samotnie blakające się kundle. Nastrój smutku, przygnębienia i melancholii wkradł się w każdą, najmniejszą nawet przestrzeń. Niebo przystroić się w ciemną szatę i skrzętnie chowa za chmurami najmniejsze promyki słońca.

W ostatniej chwili zmęczona wbiegam do pustego autobusu. Kulę się w najodleglejszym kątku pojazdu i pocieram zmarznięte ręce. Mimo ponurej, jesiennej pogody i pesymizmu wypełzającego z każdego kąta moje serce bije szybciej na myśl o dzisiejszej przygodzie, a ciepło wewnętrzne wygrywa całą batalię z otulającym świat chłodem.

Mijamy jeden przystanek, drugi i trzeci, a początkowo pojedyncze krople zamieniają się w prawdziwą ulewę...